Rocznik III. Kraków 1-go września 1911. (Półrocze II-gie) Nr. 3.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA" wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** kor. — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA" w Krakowie ul. Powiśle 12.

Z podróży po Ameryce.

(Opowiadanie ks. M. P.).

(Dokończenie).

Szkolnictwo polskie.

Nasi rodacy, mieszkający w Stanach Zjednoczonych, dzięki wyższemu, niż u nas wykształceniu i nabytej tutaj inteligencyi, rozumieją dobrze doniosłość szkoły polskiej. Gdzie tylko organizuje się polska parafia, tam nieodmiennie powstaje zaraz i szkoła.

Szkoły polskie w Ameryce powstały staraniem duchowieństwa polskiego i pozostają dotychczas wyłącznie pod jego kierownictwem. Noszą przeto nazwę »parafialnych«, w przeciwieństwie do rządowych, które tam się nazywają »publiczne« i są ściśle bezwyznaniowe.

Rząd Stanów Zjednoczonych popiera wszelkimi sposobami cywilizacyę i oświatę, więc też nigdy żadnych nie czyni przeszkód w otwieraniu szkół lub nauczaniu. Wie o tem dobrze, że dając swobodę i wiedzę, tem samem zobowiązuje dla siebie mieszkańców.

Jak dalece Amerykanie kochają swój kraj i rząd, dowodem może posłużyć ten fakt, że kiedy z powodu wypowiedzenia przez Stany wojny Hiszpanii prezydent Mac

Kinley dnia 23-go kwietnia 1898 roku zażądał od kraju 125 tysięcy woluntaryuszów na dwa lata służby w armii — zgłosiło się w krótkim czasie przeszło milion ochotników! W Stanach Zjednoczonych niema powszechnej obowiązkowej służby wojskowej. Mają pojedyncze Stany i większe miasta swoją milicyę, lecz bardzo niewielką, ale państwo to silne miłością swych mieszkańców. Każdy Amerykanin, acz nie zmuszony obowiązkowym poborem, stanie na wezwanie i chętnie pójdzie w bój za kraj, który mu daje swobodę, wiedzę, obronę i wszelkie wygody. Ale do rzeczy.

Rok szkolny w polskich zakładach naukowych większych trwa 10 miesięcy: od września do czerwca. Są jednak małe szkółki parafialne, które funkcyonują tylko w czasie wakacyj; w tych to szkółkach dziatwa kształcąca się w szkołach z językiem wykładowym angielskim, choć przez parę miesięcy uczy się ojczystej historyi, katechizmu i języka polskiego.

W czasie szkolnym nauka odbywa się każdego dnia w tygodniu z wyjątkiem soboty i niedzieli (te dwa dni przeznaczone są na wypoczynek), oraz ważniejszych świąt kościelnych i krajowych.

Rozkład godzin jest taki: O godzinie ósmej Msza św., po której rozpoczyna się nauka i trwa do godziny dziesiątej. Następnie po kwadransowej pauzie lekcye przeciągają się do jedenastej i pół. Po południu od godziny pierwszej do czwartej z kwadransową pauzą po godz. drugiej i pół.

Program nauk odpowiada programom szkół publicznych z dodaniem religii, języka ojczystego i historyi Polski.

U nas, gdy kto dziecko oddaje do zakładu naukowego, zapytuje najpierw: jakie szkoła daje prawa rządowe. W Ameryce tego pytania nie znają. Tam potrzebna nauka i wiedza, a nie prawa. Jeżeli jaka szkoła ma dobrych nauczycieli i uczniowie umieją dokładnie to czego się uczyli, to uniwersytety w porozumieniu się z zarządem danej szkoły, przyjmują uczniów na wyższe studya bez wahania.

Dziatwa polska uczy się, ogólnie mówiąc, dobrze, bo na porządku dziennym jest, że uczeń szkoły polskiej, o ile wstępuje do publicznej, zostaje przyjęty do klasy równo-

znacznej, albo, co częściej się zdarza, dostaje promocyę do klasy wyższej.

A teraz o pojedynczych szkołach słów parę.

Pierwsza szkoła polska powstała w roku 1866 staraniem ks. Bakanowskiego C. R. w mieście Panna Marya w stanie Texas. Druga w następnym roku przy parafii św. Stanisława w Millwaukee. Później z każdym rokiem, wraz z przybywaniem parafii, przybywało i szkół polskich, tak, że obecnie jest ich chyba do tysiąca.

Dzieci uczęszczających do szkół polskich więcej jest, niż 100 tysięcy; zważywszy że w samem n p. Chicago w roku 1900 było już 15 tysięcy.

Na wyróżnienie zasługuje szkoła polska przy kościele św. Stanisława w Buffalo (Boflo). Ogromny gmach tej szkoły z czerwonej cegły zbudowany, wykończony został w roku 1890 i mieści 2.800 dzieci; 27 Sióstr Felicyanek i 5 nauczycieli świeckich zatrudnionych jest nauczaniem.

Dodać powinienem, że ks. Jan Pitass, założyciel tej szkoły, należy do najwybitniejszych księży polskich w Ameryce. Urodził się ten kapłan w 1844 roku w Niemieckich Piekarniach na Górnym Śląsku. Kształcił się w Raciborzu, następnie w Rzymie odbył studya teologiczne i wyjechawszy do Ameryki w roku 1873 z rąk Biskupa Buffalowskiego otrzymał święcenia kapłańskie. Nazajutrz (8-go czerwca) w dzień św. Trójcy odprawił prymicye w niemieckim kościele katolickim i tegoż dnia po południu zebrali się u niego zamieszkali w Buffalo Polacy i pod przewodnictwem młodego kapłana zorganizowaną została w tem mieście pierwsza parafia polska.

W rok potem staraniem ks. Jana Pitassa stał już pierwszy polski kościół; pod tym samym dachem mieściła się szkoła i plebania. Parafia św Stanisława wzrastała szybko; z kilkudziesięciu rodzin przy zakładaniu parafii w rok potem było już kilkaset. I wkrótce tak się zwiększyła liczba wiernych, że wybudowano nowy piękny, z wysoką wieżą kościół, w stylu romańskim. Poświęcenie świątyni odbyło się w roku 1886.

Kościół ten, jak i niektóre inne amerykańskie podzielony jest na dwa piętra. Kościół dolny i nad nim górny. Ćwierćwiekowa praca dla rodaków, kościół i szkoła, dają

prawo zasłużonemu kapłanowi temu nosić słuszne miano patryarchy Polonii w Buffalo i okolicy.

Oprócz parafialnych szkół polskich, w dziedzinie oświaty wysoce zasłużone są zakony męskie i żeńskie. Więc OO. Zmartwychwstańcy, Franciszkanie, Jezuici i inne. Ale najwięcej szkoł polskich jest w ręku Sióstr zakonnych. Najstarszemi są Siostry Opatrzności Boskiej.

Mają około sześć szkół. — Dalej Siostry Notre-Dame'ki (czytaj Nortdamki) mają więcej, jak 16 szkół; uczą około 10 tysięcy dzieci. Siostry Nazaretanki, Zmartwychwstanki, Szkolne św. Józefa i Felicyanki, wszystkie te zakony ogromne kładą zasługi dła społeczeństwa polskiego.

W czasie swego pobytu w Ameryce zwiedziłem kilka takich szkół zakonnych, ale niezatarte wrażenie zostawił mi dom prowincyonalny i szkoła Felicyanek w Cheektowaga pod Buffalo. Zakład ten, zbudowany na dziesięciu akrach ziemi, posiada gmach, w którem przemieszkuje 189 Sióstr. Matka prowincyonalna i 270 dzieci (chłopców 140, dziewcząt 130). Siostry mają dużą kaplicę, obszerny chór; sale dla dziatwy niezmiernie wygodne, z wielkiem uwzględnieniem zasad hygieny i kultury.

Kiedy zwiedzając zakład, wszedłem do sali, gdzie była zebrana dziatwa, doznałem nieopisanego wrażenia. Sierotki stanęły w półkole i śpiewały. A pieśń »Cześć ci ziemi Polska, cześć Ojczyzno miła« głęboko wryła się mi w serce. Hen! tak daleko za morzami, za lądami dzieci te po większej części, nie mające rodziców, zginęłyby dla kraju, a może i dla Boga, ale zesłała im Opatrzność Siostry Felicyanki, które ich żywią, ubierają, kształcą i utrzymują w ich serduszkach miłość dla wiary ojców ich i ziemi polskiej.

Kapelanem przy tym klasztorze jest zasłużony ksiądz prałat kapituły warszawskiej Walenty Świnarski. Staruszek już bardzo podeszły w leciech, bo liczący lat 78; jeszcze w roku 1904 obchodził on złoty jubileusz kapłaństwa.

Siostry Felicyanki dzielą się na trzy prowincye: Detroit, Millwaukee i Buffalo. W roku 1901 miały pięć zakładów i ochronek, a 39 szkół polskich; dziś liczba ich znacznie większa.

Wyższych szkół Polacy w Ameryce posiadają niewiele: Akademia Nazaretanek i kolegium św. Stanisława w Chicago, wyższa szkoła OO. Reformatów w Pułaski, także szkoła w Millwaukee i Shamokin, nakoniec wielkie polskie seminaryum. O innych wyższych szkołach nie słyszałem.

Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje seminaryum polskie w Detroit. Jeszcze w roku 1870 kardynał Ledóchowski, mieszkający w Rzymie, proszony ciągle przez Biskupów amerykańskich o księży polskich, podał myśl założenia polskiego seminaryum duchownego w Ameryce. Składką w tym celu zajął się ks. L. Moczygęba, nie czując się jednak na siłach z powodu podeszłego wieku, przeprowadzenie tego zamiaru do skutku złożył w ręce ks. Józefa Dąbrowskiego, który w roku 1887 gmach seminaryum wykończył i zaczął kształcić alumnów. Liczba uczniów zwiększała się rok rocznie: w 1888 było 35 zaledwie, w pięć lat potem było już 105, a w roku 1898 — 153, obecnie liczba ich wynosi 330, do 80 kleryków a 250 uczniów, którzy albo przechodzą na kursy teologiczne, albo się przenoszą do uniwersytetów państwowych.

Dawniej seminaryum znajdowało się w mieście Detroit. W roku 1909 nowy rektor ks. Buhaczkowski kupił koszary oficerskie w Ovchavd Lake (wymawia się Ovczavd Lek), położone o parę mil angielskich od Detroit, a złączone z niem koleją parową i elektryczną i do tego miasta przeniósł seminaryum.

Dziś ma ono niesłychanie wygodne pomieszczenie i bardzo zdrowotną okolicę. Dziewięć murowanych budynków rozrzuconych wśród lasu nad brzegiem jeziora, własną elektryczność, urząd pocztowy, wodociągi, automobile, żaglowce i place do gry w piłkę — słowem wszelkie wygody. Każdy budynek ma inne przeznaczenie: w jednym jadalnia, w drugim sale restauracyjne, w innym szkoła i kaplica, dalej sypialnie, mieszkanie dla profesorów, gości i t. d.

Cześć kapłanowi, który takie miejsce wybrał dla swych wychowanków, i cześć dla Polonii, która swoimi darami dopomogła kupić tak uroczą siedzibę!

Życie Polaków w Stanach Zjednoczonych.

Konstytucya Stanów Zjednoczonych zapewnia swym obywatelom całkowitą swobodę związków. To też Polacy łączą się w rozmaite stowarzyszenia. Przy kościołach są bractwa i związki parafialne samodzielne lub należące do wielkich organizacyi. Pobożne bractwa troszczą się o ozdoby świątyni, odmawiają lub śpiewają nabożne oficya, utrzymują ochronki i instytucye dobroczynne. Związki o celach społecznych posiadają kasy pogrzebowe, biura pracy, wspierają ubogich, utrzymują biblioteki lub redagują pisma.

Do największych organizacyi należą: Zjednoczenie Polskie rzymsko-katolickie, liczące przeszło 40 tysięcy członków, oraz Związek Narodowy Polski— 60 tysięcy członków. Mniejszych stowarzyszeń jak: Sokół, Macierz Polska, Związek Polek, rozmaitych »Lig« i Unii bez liczby.

Wielka to szkoda, że niema dotąd jednej wielkiej polskiej organizacyi, łączącej wszystkie odcienie związków. Ale natura ludzka jest wszędzie jednaka. Członkom Zjednoczenia zdaje się, że związkowcy nie są katolikami. Ci zaś zarzucają Zjednoczeniu, że nie jest dość polskiem - narodowem; tu pobożność, tu demokracya, ówdzie cele partyjne, dość, że jednej organizacyi wielkiej, łączącej wszystkich Polaków, Ameryka nie posiada.

Pism polskich widziałem w Ameryce sporo. Każda większa kolonia polska, każdy związek potężniejszy posiada swój organ.

Polacy w Stanach Zjednoczonych piastują rozmaite godności rządowe i miejskie. Godności tam są obieralne, więc każdy uczciwy i zdolny człowiek może być bez względu na narodowość i elektorem i członkiem kongresu, i burmistrzem miasta, ba, nawet prezydentem. Wielu z naszych rodaków trudni się handlem — jedni posiadają wielkie składy hurtowne, inni fabryki lub sklepy. Wielu Polaków poświęca się rolnictwu, inni pracują w drukarniach i fabrykach, służą w wojsku, prowadzą przedsiębiorstwa — słowem we wszystkich sferach i gałęziach przemysłu spotkać można naszych rodaków.

W dziedzinie wynalazków zasłynął swego czasu Brat Żegleń, Zmartwychwstaniec z Chicago, który wynalazł kulochronny pancerz jedwabny. W dziedzinie malarstwa promienieje jako pierwszorzędna gwiazda p. T. Żukotyński z Chicago. W dziedzinie literatury wybitniejsi są: dr. J. Iłowiecki, Szczęsny Zahajkiewicz, Marya de Mańkowska i inni. Największe jednak zasługi w piśmiennictwie polskiem położył ks. Wacław Kruszka, proboszcz parafii św. Wojciecha w Millwaukee. Autor dzieł: »Rzym«, »Neapol i Wezuwiusz«, »Hymny Wielkopostne«, »Anarchizm i jego stosunek do socyalizmu«, oraz wielu innych; w ostatnich latach napisał obszerną »Historyę Polski w Ameryce«, w której szczegółowo opisuje wszystkie parafie i osady polskie w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Dzieło monumentalne i opracowane bardzo troskliwie; tomów 13, wydane w roku 1905, drukiem Spółki Wydawniczej *Kuryera Polskiego* w Millwaukee, stanu Wisconsin.

Ks. Wacław Kruszka urodził się w Słabomierzu, w księstwie Poznańskiem 1868 roku: kształcił się w Wieluniu i Wągrówcu. Następnie był profesorem w Chyrowie. Chcąc się poświęcić stanowi kapłańskiemu, pojechał do Rzymu, gdzie studyował teologię i wyjechawszy do Ameryki w 1895 roku, przyjął święcenia kapłańskie. Odtąd z wielką gorliwością pracuje dla kościoła i narodu.

Założył już trzy polskie parafie: w Bipon, Oshkosh i Millwaukee św. Wojciecha. W 1904 roku był delegatem od duchowieństwa polskiego do Rzymu z prośbą o Biskupa Polaka dla Ameryki.

Będąc w Millwaukee, ja i moi towarzysze mieliśmy przyjemność poznać tego wybitnego kapłana i doświadczyć jego uprzejmości. Ks. Jan Szukalski, proboszcz kościoła św. Cyryla i Metodego wraz z p. Fr. Wasilewskim ofiarowali nam swe automobile, na których pod przewodnictwem ks. Kruszki objechaliśmy całe miasto i oglądaliśmy jego najpiękniejsze kościoły. Życzliwość i uprzejmość, jaką nam okazali ci rodacy, wyryła w sercach naszych niezatarte wspomnienie.

A teraz powiem słów parę o równości amerykańskiej

Dużo się o tem słyszało. I po większej części prawda. Żadnych kastowych przywilejów, żadnych jaśnie wielmożnych, żadnych tytułów dziedzicznych, ani orderów tam nie znajdziesz. Robotnik na farmie zasiada do stołu wraz ze swym panem. Wszystkie koleje mają jedną klasę dla wszystkich. Tragarz podaje rękę wykwintnie ubranemu podróżnemu. Słowem równość całkowita.

Może się komu wyda dziwne, jak to się dzieje, że milioner zasiada w wagonie razem z chłopem, ale muszę wyjaśnić, że tam takich chłopów, jak są u nas, brudnych, analfabetów, niezgrabnych nie znajdziecie. Tam prosty robotnik więcej ma inteligencyi i towarzyskiej ogłady i porządniej się ubierze, niż u nas niejeden, co robotnikowi rozkazuje. Stąd i różnica się zaciera. Nie byłbym jednak sprawiedliwym sprawozdawcą, gdybym nie dodał, że i tam jednak są różnice stanowe, acz niezbyt wyraźne. Są wagony tak zwane »tykietowe«, gdzie się dopłaca za osobne krzesło. Są całe dzielnice podmiejskie, gdzie w prześlicznych willach i pałacach mieszkają bogacze.

Teorya równości absolutnej w praktyce jest absurdem. Kiedyś do Ameryki napłynęło setki kolonistów równych sobie; jedni pozostali robotnikami, inni zaś wybili się na wyższy szczebel, jeśli nie szlachectwa, to przynajmniej bogactwa.

Gdybym chciał wszystkie wrażenia ze swej podróży po Ameryce streścić, to musiałbym ogólnie powiedzieć, że życie amerykańskie, kultura, swoboda i cywilizacya wyprzedza nas o jakie trzysta lat.

Na wyróżnienie zasługuje gościnność naszych rodaków. Nas »gości ze starego kraju«, jak się amerykańscy Polacy wyrażali, przyjmowano z otwartem sercem.

Kiedyśmy byli w Buffalo, poznaliśmy zacnego redaktora, p. A. Skarzyńskiego, kierownika *Dziennika dla Wszystkich* i właściciela fabryki wina częstochowskiego. Z prawdziwie polską uprzejmością podejmował nas u siebie, własnym automobiłem zawiózł nas do wodospadu Niagary, obwiózł po mieście, gdzie obznajamiał we wszystkiem, co jest godnego widzenia.

Niewielu poznaliśmy duchownych i świeckich Polaków, ale ci, z którymi mieliśmy przyjemność spotkać się, pozostawili po sobie jak najsympatyczniejsze wrażenie.

JEZIORO ŚWIERKÓW.

Podanie litewskie.

Skreślił B. B.

Umarła Litwa pogańska, umarła w całej sile swego życia, w całym blasku piękności swojej; podobna do młodej dziewczyny, która nie znając jeszcze uniesień światowych, obca troskom i goryczom żywota, idzie do cichego grobowca, z nadzieją, że w innej krainie będzie weselsza, że będzie kąpać swe lica w zdroju czystej wody, że będzie rzewną duszą modlić się do piękniejszego młodziana, aniżeli najpiękniejszy anioł ziemski.

Skonała Litwa w zaraniu żywota swojego, podobna do młodej matki, która pieszcząc u łona dziecię, wpatruje się w jego oblicze, a wpatruje się tak długo, aż się błękit jej oka zaćmi, i już nigdy światłości ziemskiej nie zobaczy, nie zobaczy nawet tych kolei, przez które anioł jej przechodzić będzie.

Jak kochanek z wieńca mirtowego, który mu za całą pamiątkę po lubej został, przypomina sobie cudną postać najdroższej, jej słowa wdzięczne, przymilenia pieszczotne i obietnice szczęścia ziemskiego; jak rzewne chłopię po tęsknem echu pieśni, którą nad jego kolebką matka nuciła, a która nie przestała jeszcze odbrzmiewać w jego duszy; jak sierota po dźwięku głosu matki serce jej rozumie — tak ja po pieśniach, które brzmią jeszcze nad wodami Niemna, po warkoczach brzóz wieńczących samotne pagórki, po paśmie podań, po gwarze zabaw, zgaduję starą Litwę i czuję, jakim tętnem ona biła wtenczas, gdy w jej świętych jeziorach urodne dziewy kąpały białe lica, gdy w jej cienistych gajach ogień pochłaniał ofiary całopalne i dym ich pod niebo wysyłał, gdy na jej wyżynach wznosiły się wieże wysokie, patrzące dumnie po obszernych smugach i borach okolicznych.

Więc jesli chcecie, mili bracia to wam krótko opowiem jacy to byli praojcowie Litwy; więc jeśli chcecie, miłe siostry, to wam jednę pieśń o nich powtórzę.

*
* *

Ongi, na Nowogródku, panował możny książę Erdźwiłł, syn Montwiłłów. Erdźwiłł był mężnym w bitwie i odważnym wśród niebezpieczeństw, jako lew młody; a że był przytem rozumny, więc w krótkim czasie potrafił i swoich wrogów pokonać, prawa zadyktować całej Litwie, zjednawszy sobie wprzód jej miłość i zaufanie bez granic.

Ale z małego panka stawszy się możnym dziedzicem Nowogródka, lubił często przypominać sobie chwile dawnego bytu, i dlatego nie podnosił hardo nad innych głowy i nie pysznił się bogactwem swojem, siłę tylko wywierał na wrogach ziemi, a grozę zdrajcom okazywał.

Litwa od czasu jego rządów na nowo zakwitnęła pięknością i życiem. Dawniej dzikie góry były puste, a na nich tylko zwierz drapieżny albo jeszcze drapieżniejszy człowiek przemieszkiwał

Więc nie dziw, że gdy Erdźwiłł wzniósł piękny zamek dla siebie, opasując go murem i dźwigając cztery potężne baszty, niby czterech olbrzymich strażników, nie dziw, że gdy książę swoję siedzibę ozdobił pięknie, to ona stała się miejscem słynnem i ciekawem, a ciekawem tak, że każdy Litwin kładł sobie za warunek konieczny, przynajmniej raz w życiu oglądać jego mury i jego wszystkie piękności, a pokłonić się potężnemu panu, który własnemi siłami i własnym rozumem potrafił te cuda prawie z niczego wyprowadzić.

Erdźwiłł rycerzom kuningom zawsze był dostępny i nigdy od gości nie stronił, bo oprócz tego, że był w swoim domu rad niezmiernie i kazał podczas uczty burtynikom wdzięczne pieśni przygrywać, ale jeszcze dawał młodym rady i wskazywał drogi, któremi można dojść sławy i majątku, od starszych zaś i doświadczeńszych przyjmował wdzięcznem sercem przestrogi, i nigdy się za nie nie obrażał.

Co się zaś tyczy młodych, dzielnych wojowników, których licznym pocztem dziedzic nowogrodzki lubił być

zawsze otoczon, dla tych, oprócz mądrości księcia, oprócz szczerej gościnności jego synów, dla tych dwór Erdźwiłła był milszy nad inne dwory, gdyż książę miał córkę urodną, z błękitnemi jak niebo wiośniane oczyma.

* * *

Pan Nowogródka miał pięciu synów i jednę córkę, najmilszą osłodę, największą chlubę swego życia. Książę nazywał ją imieniem Egli. W mowie Litwinów Egle znaczy świerk, ale jest rodzaju żeńskiego. Otóż czy dlatego, że Egle była tęskna obliczem, jak świerk litewski, czy dlatego, że jej postać tak śmiało strzelała nad poziom, jak świerk wspaniały, nie wiem, ale księżniczkę nowogrodzką i swoi i nie swoi porównywali do świerku wyniosłego.

Egle nietylko była nad podziw piękną, ale była ona jeszcze tak rozumną, że w całej litewskiej ziemi podobnej do niej dziewicy niktby nie znalazł; była ona nawet tak mężną, że niejeden rycerz w pieszczotach macierzyńskich chowany, nie dotrzymałby jej placu, gdyby przed nim w zbroi męzkiej stanęła. Nieraz nawet z braćmi przy boku ojca chciała iść na wojnę, i tylko prośby poddanych i życzenie ojca zniewalały ją do pozostania w domu.

Czy dlatego, że Erdźwiłł miał tylko jednę córkę, czy że mu ona przypominała jakieś milsze czasy, jakieś chwile życia piękniejsze, ale książę Nowogródka patrzył w Egli oblicze, jak w jutrzenkę poranną, a promień jej oczu był w stanie rozpędzić mu najcięższe zadumy z czoła, największe gorycze z serca; Egle zaś, znając swoją władzę nad rodzicem, umiała z niej korzystać w porę. Więc jej uśmiech i słowo pieszczotne niejednego jeńca od śmierci wybawiły, niejednej matce, łamiącej ręce z rozpaczy, wróciły radość i spokój.

Nieraz kiedy książę, w towarzystwie synów, wychodził na krużganek, dla przypatrzenia się ceremonii spalenia na stosie jeńców wojennych, wychodziła Egle z głębi zamku i padała na kolana przed ojcem, prosząc go rzewnie o darowanie życia nieszczęśliwym; a prosiła dotąd, aż gniewny pan dał się przebłagać i rozkazał rozpuścić więźniów osądzonych na śmierć.

Chociaż za taką powolność dla córki krzywem trochę okiem patrzyli na książęcia synowie i poddani, przecież żaden, nawet wódz najdzielniejszy, nie śmiał sprzeciwić się jego rozkazom, żaden z nich nie śmiał złorzeczyć Egli, i tak sędziowie jako i winowajcy, niewolnicy i lud litewski, młodą księżniczkę nowogrodzką nazywali Aniołem opiekuńczym, zesłanym z nieba na rozweselenie pochmurnej nadniemeńskiej krainy.

* * *

W czasach, kiedy żywiołem mężnego serca była wojna kiedy człowiek znajdował chlubę w sile fizycznej, w takich czasach ani dziedzic Nowogródka, ani jego synowie, nie mogli siedzieć bezczynnie w komnatach zamku swojego. To też Erdźwiłł nie tracił nigdy godzin na hulanki próżne, i jak tylko przyjazna pora zaświtała, zbierał poczet rycerzy i puszczał się po zdobycz do lackiej ziemi, bo w niej, jak sam powiadał, znajdował to wszystko, czego dusza pragnie: i wsie bogate, i jeńców dorodnych. Z niej śliczne branki przywozili młodzi wojownicy do domów.

Czy dlatego, że w Erdźwiłła duszy już zgasły wszystkie ognie młodości, czy, że od jakichś wspomnień tęsknych serce mu więdło dosyć, że nigdy, do żadnej polskiej niewolnicy, choćby była tak piękną, jak konwalia wonna, albo jak róża ponętna, do żadnej się nie przymilił, a zawsze ją dla córki, jako podarek odsyłał.

Ale co dziwniejsza, że nawet synom zakazywał pieszczot z brankami; może nadto je szanował, może która z nich kiedyś bardzo mu drogą była, a może też nie chciał młodych orłów zachęcać do starania się o zdobycz, której oddanie zwyciężonym przynosi więcej bólów, aniżeli śmierć sama.

Egle czule ojcu za każdy jego podarek dziękowała, a nacieszywszy się widokiem pięknego lica Laszki, odsyłała ją do ojczystej ziemi; dlatego też Egle nietylko na Litwie, ale i w ziemi lackiej stała się słynną z dobroci i cudnej piękności swojej.

* * *

Zamek Erdźwiłła stał pusty. Pan z synami wyjechał na wojnę. ale lada chwila miał już powrócić do domu i przywieźć podarki dla córki, a ofiary dla bogów Romnowe.

Egle tęskna błądziła po obszernych komnatach, błądziła samotna i cicha; czasem wzniosła jej postać zajaśniała na krużganku, czasem jej błękitne oko patrzyło na południe, jakby tam i powietrze było dla niej wonniejsze, i niebo jaśniejszą śmiało się pogodą. Ach! bo tam i ojciec, i bracia, cały kwiat rycerstwa walczył dla dobra ojczystej strony.

U stóp zamku leżało obszerne jezioro, czyste i ciche, jak czysta i cicha była dusza Egli, tęskne i piękne, jak tęskne jej serce młodociane. I nieraz Egle nad niem chodziła sama jedna, nieraz rzewna jej piosnka płynęła w dal po falach modnych, płynęła i konała niesłyszana od nikogo, tylko słyszało je jezioro, które córce Erdźwiłł na własność darował i które odtąd zwało się jeziorem Egli, albo świerków jeziorem.

Gwiazda poranna już weszła na horyzont laurowy i złote swoje włosy rozsnuła po przestrzeniach błękitnych.

Poranek był podobny do poranku życia ludzkiego, w którym jeszcze żadna burza losu nie zamąciła spokoju duszy młodocianej.

Egle nie mogła pozostać długo w cieniach zamku ojca, a sen jej nie chciał ukołysać. Sercem Egli miotało jakieś przeczucie nieodgadnione, zdawało się jej, że ojciec już niedaleko, że on zaraz powróci, że go uściśnie za chwil kilka; zdawało się jej, że on dla niej podarek miły przywiezie: tak sen wywróżył, sen którym ją obdarzała łaskawa Praurima (bogini miłości) wtenczas, kiedy bogowie córce Erdźwiłła coś miłego zesłać mieli.

Z pierwszym więc dnia rozświtem zerwała się Egle z posłania, wyszła na krużganek, i oparłszy o jego kraty białe dłonie, zadumała się głęboko. U jej stóp drzemało jeszcze sine jezioro, i tylko para białych łabędzi falowała wody spokojne. Czujnem echem Egle słyszała tylko bicie swego serca i plusk łabędzi sterujących cicho po toniach kryształowych.

*
* *

Z dnia rozświtem zajaśniała natura całym blaskiem dzikiej piękności swojej. Oko księżniczki spoczywało jeszcze na widnokręgu. Horyzont zamykał siny pas lasu i pasmo gór dalekich. W tem Egle drgnęła; z daleka doszły ją głosy rogów wojennych, a z boru wysunęła się ciemna wstęga, i łamiąc się na tysiąc zakrętów, pędem potoku biegła w stronę zamku nowogrodzkiego.

— Ach! to ojciec z wojny wraca! — zawołała Egle i lotem śnieżnej gołąbki pobiegła do komnat: ale wprzód nim rygle żelazne, drzwi tarasujące, zdołała poodmykać, już poczet rycerzy przebył okopy zamku i stanął na murawie wyścielającej podwórze.

Egle z krzykiem radości rzuciła się w objęcia drogiego ojca i braci kochanych. Przez chwilę nie było nic słychać, oprócz słów powitalnych, rżenia rumaków i westchnień branek lackich, co ze spuszczoną głową, ze łzawem okiem, siedziały na koniach, wyczekując ze smutną rezygnacyą dalszego swego losu.

— Patrz siostro! rzecze najstarszy syn Erdźwiłła; — patrz jaką cudną kochankę przywiozłem sobie z wojny!.... I to mówiąc, wziął za cugle konia, na którym siedziała smutna Laszka, i przyprowadził ją przed siostrę. Egle spojrzała, branka spojrzała także na księżniczkę.

— Mój drogi bracie! mój Wojsiełku jedyny, daruj ty mi tę brankę na gościniec. Ona taka młoda i piękna... jabym ją sobie przybrała za siostrę, ona by mi chwile samotności słodziła.

Wojsiełk rzucił okiem na Laszkę i nic nie mówił.

Ale księżniczka przypadła ku niemu, objęła ręką szyję braterską, przycisnęła go piersi, prosiła, aby jej brankę darował.

— Och siostro! — przemówił Wojsiełk wreszcie, — jabym ci moje serce wydarł, jabym ci duszę moję oddał, ale branki nigdy! Patrz jaka ona cudna! patrz siostro i powiedz czy widziałaś kwiat milszy w naszej stronie, czy nawet na górze Połągi są mu podobne?

— Pamiętasz Wojsiełku tego sokoła, którego mi ojciec darował?

— Sokół, młody sokół! czemu on nie mój?!... — westchnął młody rycerz.

— Ja ci go oddam w zamian za Laszkę — przemówiła księżna.

— I sokoła nie chcę, i branki nie dam.

— Wojsiełku drogi, czy ty chcesz bym ja umarła z tęsknoty? Ja młoda, ja sama jedna więdnę w tych murach zamkowych, wtenczas kiedy wy jedziecie na wojnę; a ty mój bracie nie chcesz dać mi kaliny, która i mój żal utuli, moje tęsknoty osłodzi w chwilach kiedy was niema.

Wojsiełk podumał, spojrzał na Laszkę, westchnął i podał siostrze cugle jej konia.

A Laszka zsunęła się z konia i skłoniła głowę do nóg księżniczki. I była podobną do białej lilii, zwarzonej wiatru podmuchem, skłaniającej swoją głowę tam, kędy słońce pogodne zabłyśnie.

* * *

Stary Erdźwiłł stał dotąd na boku i patrzył pochmurnem okiem na syna, i znać było z jego rysów, że się gniewa, widząc Wojsiełka tak długo opierającego się czułym prośbom siostry, ale kiedy rycerz dał się wreszcie wzruszyć, kiedy branka leżała u nóg księżniczki, pan Nowogródka przystąpił do córki, ujął ją za rękę i rzekł:

— Zapomniałaś, lube dziecię, o ojcu, chociaż on o Tobie zawsze pamięta, nawet wtenczas, gdy w koło wre bitwa okrutna. Patrz córko, i jam dla ciebie przywiózł podarek, i to mówiąc wskazał na stojącego tuż przy nim jeńca lackiego. Stał on dotąd ze związanemi rękoma i pochmurnem okiem spoglądał na brankę płaczącą; i całe piekło wrzało mu w duszy, gdyż walkę tych uczuć znać było na jego młodocianem, pięknem i szlachetnem obliczu. Będzie ci sokoły nosił, będzie ostrzył strzały i ujeżdżał konie, bo zręczny jest do tego. — Nawet w potrzebie potrafi i od napaści cię obronić, gdyż męztwa swojego dał nam już dowody; żywcembyśmy go nie wzięli, gdyby Wojsiełk nie uchwycił tej dziewczyny, albowiem wtenczas młody Lach przestał walczyć i sam się oddał za jeńca.

Branka powstała z kolan, a Egle zapytała łagodnie jeńca:

— Będzieszże ty mi wiernie służył, młody Lachu?

Młodzian spojrzał na cudne lica księżniczki i rzekł:

— Tylko twoim będę niewolnikiem.

— A cóż ty umiesz mój sługo? — zapytała znów słodko Litwinka.

— Umiem walczyć, cenić honor, umiem kochać, umiem grać na lutni i śpiewać czułe piosenki.

— Och ja lubię dźwięki lutni, — szepnęła Egle, spuszczając ku ziemi powiekę; potem skinęła rączką na jeńców, aby za nią udali się w zamku podwoje.

Wojsiełk poszedł wydawać wojsku rozkazy; Erdźwiłł udał się do swoich komnat, aby zrzuciwszy zbroję, wypocząć trochę na niedźwiedziej skórze i odetchnąć swobodnie po trudach i niewczasach wojennych.

*
* *

Księżyc już trzy razy ostrzygł srebrne rogi, odkąd Egle została panią młodego Lacha i pięknej Laszki. Już trzy razy księżyc był w pełni, jak została siostrą niewolnicy, a najmilszym Aniołem niewolnika. Często też, gdy ojciec wyjedzie z braćmi na łowy do puszcz okolicznych Egle zostaje w Nowogródku.

Trochę ją dręczą smutki branki, a jej oczy, często zapłakane, nie dają pokoju księżniczce, ale niebios rozkosze kołyszą jej białem łonem wtenczas, kiedy jeniec weźmie cytrę, usiądzie pod brzozą płaczącą i zacznie nucić piosnki o rodzinnej ziemi, o życiu gołębi na dębie gruchających.

Egle patrzy wtenczas w oblicze śpiewaka, i blednie i czerwieni się naprzemian; a gdy najtęskniejszej on dotknie struny, gdy najrzewniejszą nutę przypomni, o! wtenczas łzy na oczach Egli błyszczą blaskiem rosy porannej w świetle wschodzącego słońca grającej; nieraz nawet tak struna jej uczuć natęża się wysoko, że śpiewak, bojąc się, aby ona nie jęknęła dysharmonią, musi swoich dumek zaprzestać.

Nieraz, kiedy Egle siedziała nad jeziorem oparta na ramieniu Laszki, kiedy w jej ciemnych warkoczach kryła lica, aby zatopiwszy wzrok w cieniu, mogła lepiej przypatrzyć się rysom twarzy śpiewaka przed nią stojącego, nie-



Plac ludowy w Rzymie.

(Objaśnienie na str. 91).

raz przychodził wtenczas stary Erdźwiłł. Ale zastawszy w takiem lubem zadumaniu miłą córkę, nie naganiał jej tego zupełnie, a tylko na Lacha znacząco spozierał; lecz gdy śpiewak nie spuszczał czarnych oczu ku ziemi, to pan Nowogródka uśmiechnął się, machnął ręką i poszedł do syna na radę. Odszedł, nic nie mówiąc córce, bo i na-cóżby się zdały napomnienia, kiedy Egle w Nowogródku była panią samowładną.

*
* *

— O! lepiejby mi było, gdybym ciebie nie poznała nigdy, młody rycerzu lacki! byłabym może jeszcze spokojna w swojej cichej samotności... Mnie słodko, mnie lubo przy tobie, ale ty się rwiesz, ale ty mnie błagasz, bym ci pozwoliła wrócić do ojczyzny.

O idź i nie wracaj, i zostaw biedną Eglę...

— Pani moja droga! nie smuć się. Ja pojadę do swoich, ja obaczę tylko, czy ojciec i matka żyją i znowu tu wrócę, aby być twoim wiecznym niewolnikiem.

Gdym ja przy tobie, zdaje mi się, jakbym skrzydła posiadał; gdym ja bez ciebie, zdaje mi się, jakby mi całunem oczy zakryło.

Ale Egle, pozwól mi pojechać do ojczyzny, pozwól moję siostrę, młodą Gertrudę, odwieźć narzeczonemu. Ona kocha cię, jej żal rozstać się z tobą; jednakże w ojczyźnie są dla niej jeszcze droższe istoty. Tam ją oczekuje kochana matka, tam drużki plotą dla niej ślubny wieniec i białą suknię do ślubu szyją; tam jej miły ręce łamie z rozpaczy i wyrzeka przeciw Bogu i ludziom, bo nie wie, gdzie się podziała jego narzeczona.

Egle, jedź ty ze mną! Ja mam włości liczne i poddanych wielu, ja mam zamek mocny. Ani ojciec twój, ani bracia nie zdobędą go, jeżeli będę bronił przystępu: nie lękaj się więc ich zemsty.

— Nie Wacławie! nie, jedyny! Ja ojca nie mogę rzucić starego; gdy mnie nie będzie, kto po boju go upieści? kto mu smutki rozerwie? kto jego głowę siwą utuli na kolanach?

— Więc siądę na wronego, odwiozę swoim siostrę i znowu powrócę, a powrócę, jak mi zbawienie miłe, bo zbawenie moje tylko przy tobie księżniczko nowogrodzka

iTak mówił młody jeniec Wacław i pochylił swoje kolano przed córką Erdźwiłła, i całował jej ręce, a ona pieściła go czule i mówiła drżąca od szczęścia:

— O moje ty słońce! mój ty ptaku lekkopióry! Czemże będzie moje życie, gdy odlecisz na zawsze z nad świerków jeziora, gdy nie wrócisz więcej do zamku nowogródzkiego?

— Wonna kalino! jutrzenko poranna! Powrócę niedługo, o powrócę pewno, by pozostać z tobą na wieki!...

I wsadził Wacław na konia drżącą z radości Gertrudę, drżącą i smutną, i pobiegł szybko w południową stronę.

Ale wprzód nim Laszka odjechała na zawsze z Nowogródka, pożegnała czule księżniczkę, która jej ścisnęła rękę i rzekła cicho:

— Do zobaczenia moja siostro.

Poleciał Wacław lotem sokoła, pobiegła z nim jego siostra, przytulona do braterskich piersi. A kiedy mijali wsie i bory litewskie, to każdy poczciwy człowiek, patrząc na tych jeźdźców, dziwił się bardzo, bo nie wiedział, czy ich za duchy, czy za ludzkie dzieci brać wypada. Niejeden rycerz nawet strzałę puścił za niemi, bo brał ich za zbiegów; ale gdy lotny koń wyskoczył z pocisku, pomyślał, że to pewno są bogów posłańcy, z ich rozkazami do Romnowe pędzący.

Egle pozostała w zamku nowogrodzkim samotna, o! samotniejsza jeszcze, jak była dawniej Pozostała z zadumą na licu, z smutkiem na czole i żalem w sercu. Ani ją już bawiły pieszczoty ojca, ani ją cieszyły mężne czyny braci; nawet słońce poranne i gwiazdy iskrzące nie zajmowały jej oczu. Ona podnosiła swe spojrzenia do niebios, oczekując aż na nich zabłyśnie gwiazda świetlana, Ona posyłała swoje myśli na południe, w daleką, obcą stronę; ale ztamtąd nawet wiatru powiew dźwięków lubego głosu jej nie przynosił.

Próżno sędziwy ojciec i mężny Wojsiełk chcieli księżniczkę rozerwać, prowadząc ją z sobą na łowy. Ona daw-

niej lubiła bujać na śmiałym żmudzkim rumaku, po obszernych równinach, ale teraz niechętnie zamek opuszczała, pochylona, smutna, nie tam patrzyła kędy jej dzielny sokół czaplę gonił, ale tam, kędy młody lacki jeniec zniknął niedawno, ale tam, kędy świerków jezioro drzemało spokojnie, kąpiąc sinym nurtem warkocze brzóz płaczących, kędy niedawno tęskne piosenki budziły ze snu białe łabędzie, lubiące wsłuchiwać się w dźwięki pieśni ich rajskie życie opiewającej.

*
* *

— Czego, droga córko, stoisz taka blada? Czemu załamałaś ręce i patrzysz w mglistą dal? Zdaje się, jakby tam, za sinem pasmem gór, przebywało twoje szczęście i przedmiot snów różowych

— Ej, droga siostro, rozwesel oko błękitne i spojrz przecie na nas, na świat, jakeś patrzyła, nimeśmy na ostatnią wojnę wyjechali.

Tak przemówili czule Erdźwiłł i Wojsiełk, zastawszy Eglę zadumaną nad jeziorem.

— Moje myśli i moje szczęście daleko odemnie, to i nie dziwcie się, drodzy, że mi smutno w duszy, — odparła dziewczyna.

— Porzuć żale, siostro. Patrz! oto wrony stoi i czeka na ciebie. Dosiądź rwącego konia, weź sokoła i pojedziemy na łowy.

Patrz! nawet i ta Laszka, którejś wolność darowała, powróciła znów do nas.

Zbladła nagle Egle, ujrzawszy samę jednę Gertrudę, która z krzykiem boleści rzuciła się jej w objęcia.

Ale Egle nie pospieszyła swoją lubą siostrę uścisnąć: odskoczyła prędko od niej i ponurym głosem zapytała:

— Wacław, nie powróciłże z tobą? Twój brat zapomniałże o mnie?

— Wacław już nie żyje, jęknęła Laszka. Strzała litewskiego rycerza przeszyła mu serce. On skonał, jam go piaskiem przysypała, a twój koń, księżniczko, przywiózł mnie znów do Nowogródka.

— On nie umarł! on spieszy do mnie przez fale! — zawołała dziko Egle. O pójdź, najdroższy! pójdź! I wy-

ciągnęła ręce ponad wody, i rzuciła się z wysokiego brzegu w ich modrą toń, w głębinę niezmierzoną, kędy jeszcze żaden pływak dna nie dosięgnął.

Łabędzie przestraszone pluskiem i żałośnym krzykiem, odleciały w pobliskie sitowia.

Erdźwiłł i Wojsiełk rzucili się na pomoc; lecz napróżno: żaden z nich nie znalazł księżniczki, żadne oko jej więcej nie widziało.

Nie wystąpiła ona z topieli, ani na prośby ojca, ani na jęki Gertrudy. Nie wróciła Egle, bo ją unieśli do pałacu z kryształów, bogowie w jeziorze świerków mieszkający...

Posiedzenie sądowe
w odwiecznych lasach indyjskich.

Po raz pierwszy w życiu John Davison wybranym został do sprawowania pełnego odpowiedzialności urzędu sędziego.

John był to stary weteran, który od lat wielu wśród olbrzymich drzew bujał, polował, walczył z indyanami i zastawiał na nich sidła. W owych puszczach oskarżony o jakąkolwiek zbrodnię mógł być pewnym szubienicy i to nawet bez wytoczenia śledztwa.

Tym razem chodziło o zdziczałego młokosa, który, żyjąc od dość dawna w tych kniejach, przywłaszczył sobie indyjskiego kucyka z siąsiedniej osady, lecz nie udało mu się umknąć, schwycono go i przyprowadzono celem przesłuchania przed oblicze sędziego.

Wśród skalistego wąwozu w bliskości chaty starca wybrano miejsce do sądzenia sprawy. Cała gromada strzelców, poszukiwaczy złota, osadników, zebrała się i częścią stojąc grupami, częścią leżąc na ziemi, lub siedząc na pniach drzew, oczekiwała przybycia »sędziego«.

Niebawem ukazał się John, usiadł z powagą na pniu, zdjął czapkę i odezwał się w tych słowach:

— Towarzysze, sąd już zebrany, możemy rozpocząć śledztwo... A zatem wedle prawa uspokójcie się, odkryjcie głowy i słuchajcie uważnie.

Na te słowa wszyscy równocześnie zdjęli czapki, a John spojrzawszy w około zapytał:

— Gdzież jest obwiniony?

Trzech drabów, uzbrojonych w strzelby i rewolwery, wysunęło się naprzód; prowadzili oni złodzieja, młodego chłopaka, spoglądającego zuchwale. Od stóp do głów okryty skórą jelenią, z rękoma w tył zawiązanemi stanął przed swym sędzią.

— Jak cię nazywano w domu? — zapytał sędzia.

— Ja nie mam domu, — odpowiedział ponury chłopak.

— Nie masz? — Jakie nosiłeś nazwisko, nim tu przybyłeś?

— Tutaj w górach nazywają mnie chłopcy, Tygrys Jim...

— A zatem Tygrysie, oskarżono cię o kradzież konia, mojem zdaniem musi to być prawdą, gdyż inaczej nie przyprowadzonoby cię pod strażą. Nie spodziewaj się od nas drobiazgowych przesłuchów. — Czy ukradłeś konia?

— Wuju Johnie, na nic mi się to nie zda, choćbym skłamał, i nie chcę kłamać, powiem otwarcie, jak się rzecz miała. Jak wiecie, wczoraj wieczorem była w Mobie Willias Rancho przy wąwozie Muellera wielka uczta, a ja byłem tam także obecnym. Przywieziono z Laramie beczułkę starego whisky i wszyscy byliśmy dobrze podchmieleni. Gdyśmy przestali tańczyć, chciałem wrócić do Bowles Blockhaus, gdzie w ostatnich czasach mieszkałem; kiedy przechodziłem koło pagórka dzikich kotów, wszedł mi w drogę ów kucyk, którego tam na trawę puszczono, nie myśląc wiele, wskoczyłem na grzbiet i na wpół bezprzytomny pędziłem dalej. Wiem, że za to śmierć mnie czeka i nic sobie z tego nie robię. Nie zdam się na nic dobrego na tym świecie, i gdy nie moja stara matka — tutaj oczy jego zalały się łzami, a duże krople spływały po jego miedzianem obliczu, która nie spocznie nigdy, jeżeli wpierw nie pomodli się do Boga, abym do niej powrócił, śmiałbym się z tego i pomógłbym wam zadzierz-

gnąć stryczek na szyję Lecz gdy myślę o tej kochającej mnie istocie, słabość mnie ogarnia. Przyznaję się, że odkąd żyję w tych lasach, zostałem niegodziwcem, i świat nic na tem nie straci chociaż mnie nie stanie.

Tylko moja biedna matka będzie na tem cierpiała; wiem o tem, gdyż ja byłem jedyną jej podporą, posyłałałem jej każdą zaoszczędzoną uncyę złota, z tego się utrzymywała. Była ona dla mnie zawsze dobrą i kochającą mnie, oby jej Bóg za to pobłogosławił, żal mi dziś, że nie żyłem tak, aby się z nią tam w górze połączyć. Chłopcy, czy który z was nie zechce jej napisać. — Tom Kirk wie, gdzie mieszka — że mnie indyanie pochwycili, lub też, że w sposób naturalny zeszedłem z tego świata? Na miłość Boską nie powiedzcie jej, że mnie powieszono, bo toby ją zabiło, — lecz dosyć o tem, gdyż moglibyście mnie posądzić, że jestem tchórzem, a Jim Tygrys nie lęka się nikogo. Wieszajcie mnie, tylko prędko, jestem gotów.

Po tych słowach w niejednem oku łzy dostrzedz było można. Ta dobra »matka« zmiękczyła kamienne serca tych olbrzymów, którzy nie zadrżeli, gdy im niejednokrotnie śmierć w oczy zajrzała, a teraz nie wstydzili się łez, gdy wspomniano święte imię; wszakże ono przypomniało im szczęśliwą chwilę dziecięctwa, te błogie dni rodzicielskiej miłości, kiedy jeszcze pragnienie bezgranicznej wolności nie wypędziło ich w te dzikie lasy; upłynęło kilka minut, a nikt się nie odezwał. Nareszcie ojciec John, przetarłszy ręką oczy, mówił:

— Jimie, wszak nie złamiesz przysięgi, co?

— Nigdy Johnie Davison, ani wobec przyjaciela, ani nieprzyjaciela. Nie masz człowieka w tych lasach, któryby powiedział, Jim nie dotrzyma słowa. Jestem nicponiem, lecz jeżeli dam słowo, mogę ostatnim dolarem zaręczyć, że tak jest...

— A zatem Jimie, chcemy cię powiesić i zasłużyłeś na to, lecz wspomnienie twoje o matce wzruszyło mnie. Widzę tę starą kobietę, która całem sercem pragnie twego powrotu i której oczy spłakane tylko ciebie wyglądają. Mam i ja także starą matkę, pomimo, że jej od lat trzydziestu nie widziałem, jej obraz noszę w mem sercu — i to przemawia za twoją matką, Jimie.

— Prawda, że to fatalna historya. Jack przetnij mu rzemienie, niech ma wolne ręce. A teraz Tygrysie podnieś prawą rękę w górę i złóż uroczystą przysięgę: Czy przysiężesz mi w obliczu Boga i na pamięć swej starej matki, że jeżeli cię dzisiaj uwolnimy, powrócisz w tej chwili do niej, i że aż do dnia ostatniego tchnienia jej życia, starać się będziesz o jej dobro? Czy przysięgasz mi to w obliczu wszechmocnego Boga i obecnego sądu?

— Tak Johnie, przysięgam i przyrzekam uroczyście, że natychmiast wybiorę się w drogę!

— Pod tymi warunkami jesteś wolnym, a towarzysze twoi niech ci pomogą zanieść rzeczy na stacyą, lecz słuchaj Tygrysie, jeżeli kiedykolwiek pokażesz się tutaj, wtedy wprost na gałąź z tobą. A zatem posiedzenie skończone, więzień jest wolnym.

Na to przystąpił stojący w tyle olbrzymi indyanin Bill, trzymając nabity rewolwer w ręku i zawołał.

— Amen, ktoby się sprzeciwiał wyrokowi Johna, ten ze mną się rozprawi i to na tem miejscu.

Kiedy dnia następnego pociąg kolejowy opuszczał stacyą Laramie, widzieć można było cały szereg górników strzelców, jak żegnając jednego z towarzyszy, ściskali mu ręce i życzyli szczęśliwej drogi. Stał on ubrany w skórę jelenią na stopniach ostatniego wagonu. A kiedy pociąg ruszył, towarzysze wznieśli trzykrotny okrzyk na cześć jego matki, żegnając go po raz ostatni. Lotem błyskawicy iposuwał się pociąg całym szeregiem wagonów. A Tygrys Jim, widząc wierzchołki pasma gór, pokryte śnieżną szatą, westchnął ciężko z głębi piersi, mówiąc z cicha:

— Twardy los mnie spotkał, że muszę was opuszczać, lecz tak być musi! I niech mnie Bóg skarze, gdybym nie dotrzymał przyrzeczenia.

Pociąg coraz szybciej się posuwał, niosąc ubogiej matce jej marnotrawnego syna. Tygrys Jim dotrzymał słowa.

Walka z alkoholizmem w Szwecyi.

Walka z alkoholizmem od pewnego czasu weszła na porządek dzienny spraw naszych, to też uważamy za właściwe wykazać, jakie rezultaty dać może racyonalna i systematycznie prowadzona walka ze zgubnym nałogiem.

Według utartego ogólnie mniemania, alkohol posiada własności rozgrzewające, z czego wynikałoby, że w krajach zimnych alkohlizm ma najpodatniejszy grunt do rozwoju. Takiemu zapatrywaniu przeczą najoczywistsze fakty, kraje północne Europy należą do najtrzeźwiejszych.

Ongi Szwecya była co prawda krajem pijackim, ale dziś, dzięki niezmordowanej pracy na sobą, naród szwedzki doszedł pod względem trzeźwości do wspaniałych rezultatów, w ślad za trzeźwością i pracą Szwecya dziś poszczycić się może zazdrości godną kulturą, uspołecznieniem, prawie zupełnym brakiem analfabetyzmu, a liczny zastęp podróżników potwierdza to spostrzeżenie w zupełności.

O stanie walki z alkoholizmem w Szwecyi znajdujemy szczegółową wiadomość w specyalnem piśmie *l'Abstinence*, według sprawozdania p. Björkman'a dyrektora sekretaryatu antyalkoholicznego *) szwedzkiego.

Towarzystwa abstynenckie szwedzkie liczą 500 tysięcy członków — w tej liczbie mieści się około 100 tysięcy dzieci i młodzieży. (Szwecya liczy prawie 5 milionów 400 tysięcy ludzi).

Wymienianie poszczególnych nazw Towarzystw zapewne nie zajmie Szan. Czytelników, wiec musimy poprzestać na podaniu ogólnych cyfr; praca wspólna dokonywana jest niezależnie od ogólnej pracy towarzystw poszczególnych, za pośrednictwem trzech instytucyj: 1) zgromadzenia delegatów towarzystw, 2) związku centralnego dla nauczania antyalkoholicznego i 3) sekretaryatu.

Państwo udziela zasiłku pieniężnego (pewien procent od dochodów osiągniętych z opłat od trunków) przytułkom dla alkoholików, na kursa antyalkoholiczne dla nauczy-

*) Sekretaryat antyalkoholiczny jest to instytucya, która dzierży zwierzchni kierunek w walce z alkoholizmem, która jest łącznikiem pomiędzy towarzystwami abstynenckiemi w kraju i zagranicą stanowi rodzaj biura informacyjnego.

cieli i t. p. W roku 1909 suma tego zasiłku wynosiła 176.750 koron.

Izba deputowanych (kiksdag) licząca w swem gronie 90 abstynentów — na ogół 250 członków uchwaliła jednogłośnie zakaz sprzedaży napojów odurzających. Niestety, izba wyższa, która posiada tylko 2 abstynentów na 150 członków, uchwałę tę odrzuciła.

Na 250 redaktorów dzienników, 100 jest abstynentów, 25 zaś dzienników nie pomieszcza wcale ogłoszeń alkoholicznych. W roku 1909 odbyło się referendum (głosowanie powszechne ludności starszej nad lat 18) w sprawie prohibicyi, czyli zupełnego zakazu trunków Na osób 3,400.000, mających prawo głosu, oświadczyło się za prohibicyą 1,900.000 przeciw 16.613, reszta pozostała obojętną lub nie mogła brać udziału w głosowaniu.

Szynków w Szwecyi jest 8.403; w miastach 6.963, poza miastami 1.440, w tymże czasie w Galicyi naszej było 20 tysięcy karczem i szynków), konsumcya wódki wynosiła (przeciętnie na głowę, rocznie w litrach) 6 do 8, piwa 24 do 27, wina 0,6.

Fabrykacya wódki jest opodatkowana na rzecz skarbu. Czysty zysk, osiągany ze sprzedaży cząstkowej wódki, jak również opłaty od sprzedaży, idą na rzecz administracyi prowincyonalnej, dla gmin i na rzecz Towarzystwa użyteczności publicznej

Ogół wpływów państwa z opodatkowania fabrykacyi wódki, słodu i t. p. wynosi prawie 34 miliony koron.

W roku 1909 towarzystwa użyteczności publicznej otrzymały zasiłku ogółem 1,831.866 koron.

Sprzedaż wódki, z wyjątkiem większej ilości po nad 250 litrów, może być dokonywana wyłącznie za pośrednictwem towarzystw, mających głównie interes moralności na widoku. Towarzystwo takie (Bolog) oddaje swoje zyski na rzecz ogółu. Gminy mają prawo decydować co do dozwolenia sprzedaży wódki na swem terytoryum Władze gminne mają także prawo wydawać pozwolenie czasowe, jak również co do spożycia piwa i wina na miejscu.

W hotelach mogą podawać piwo podróżującym wraz z posiłkiem.

Praca Towarzystw abstynenckich dąży głównie w dwóch kierunkach: wychowawczym i prawodawczym, przyczem nie zaniedbują zaznajamiać ciągle publiczność, a szczególnie młodzież ze znaczeniem społecznem i hygienicznem sprawy alkoholizmu.

Rozmaitości.

Plac ludowy w Rzymie.

(Objaśnienie ryciny na str. 81).

Jednym z najpiękniejszych placów w Rzymie jest „Piazza del popolo", czyli „Plac ludowy".

Dawniej, gdy nie było jeszcze kolei, tędy wchodzili pielgrzymi zdążający do Rzymu od stron północnych.

Plac ten ma kształt owalny; jest dużo podobny do wspaniałego placu przed kościołem św. Piotra.

Na środku placu stoi wysoki obelisk, zbudowany przed trzema tysiącami lat w starożytnym Egipcie przez króla Ramzesa III., a przewieziony później do Rzymu i tutaj osadzony przez Papieża Sykstusa V. Takie obeliski zbudowane są z jednej sztuki kamienia, i wyglądają jak olbrzymie igły, a Rzym ma ich kilka.

Kto umiał najwięcej języków w świecie?

We wszystkich wiekach żyli ludzie, którzy z łatwością przyswajali sobie kilkanaście lub więcej języków. Mitrydates, król Pontu, mógł rozmówić się ze swoimi poddanymi w dwudziestu pięciu językach. Kleopatra nigdy nie używała tłumacza w stosunkach z posłami obcych mocarstw, co dowodzi, że była nietylko piękną, ale i wykształconą kobietą.

Pico della Mirandolo, uczony Włoch z XV. wieku, posiadał 22 języki. Chłop niemiecki z XVII. wieku, Mikołaj Schmidt, przetłumaczył modlitwę Pańską na 52 języki. W następnem stuleciu Anglik, sir Wiliam Jones, mógł rozmawiać w 28 językach. Kilka lat te u umarł w Bonn dr. Gottlieb Leitner, największy lingwista XIX.

wieku; posiadał 50 języków i z równą łatwością mówił najzawilszem narzeczem wschodniem, jak po niemiecku.

Nikt jednak nie wyrówna pod tym względem kardynałowi Mezzofantiemu, o którym Byron powiada, że powinien był żyć za czasów wieży Babel. Znał 114 języków i mówił równie biegle po irlandzku, bułgarsku, koptyjsku, chaldejsku, etyopsku, jak po włosku, Trzy tygodnie wystarczały mu do nauczenia się obcej mowy.

Paszport do nieba.

W archiwum kijowskiego prawosławnego arcybiskupstwa odnaleziono niedawno ciekawy dokument, pochodzący z roku 1341. Jest to paszport do nieba, wystawiony przez metropolitę Makaryusza, zmarłemu podówczas księciu Fedorowi Władymirskiemu. Jeden egzemplarz tego paszportu włożono do trumny, drugi zachowano w aktach.

Paszport ten opiewa: „Makaruszka, z Bożej łaski Arcybiskup i metropolita kijowski, do naszego Pana i przyjaciela św. Piotra, klucznika bram niebios. Zaświadczamy, że dnia dzisiejszego zmarł wierny sługa Boży, książę Fedor Władymirski i upraszamy cię, byś natychmiast, bez stawiania mu jakichkolwiek trudności wpuścił go do królestwa niebieskiego. Odpuściliśmy mu wszystkie grzechy i udzieliliśmy mu naszego błogosławieństwa, tak że nic nie stoi na przeszkodzie, bo wszedł do raju. Dla uwierzytelnienia, list ten wystawiony w Kijowie, w dniu 13-go lipca 1341 roku składamy do trumny zmarłemu. Najuniżeńszy Makaryusz, Arcybiskup i metropolita ki-

Młody carewicz.

O przyszłym carze Rosyi, małym Aleksandrze, podają gazety rosyjskie mnóstwo szczegółów, mających stwierdzić niezbicie, iż przyszły władca już teraz posiada głowę nie od parady. Powszechnie jest wiadomem, że carewicz ma niestrudzonego opiekuna w osobie poznanego na jachcie „Standart“ marynarza Stefana, który ustawicznie musi się obok niego znajdować. Zwyczajem dzieci

carewicz codziennie do swej modlitwy załącza modły za swego ulubieńca, ale nawet Stefan nie może oduczyć swego wychowanka od wydawania na zakończenie modlitwy przeraźliwego okrzyku „hurra!"

Młody carewicz słysząc bowiem, jak wojska tym okrzykiem witają jego papę, urządza stale podobne wrzaski na cześć „Bozi", przy wieczornym pacierzu.

Jeżeli kiedy uda się małemu carewiczowi umknąć na chwilę z pod opieki bon, nianiek, guwernantek i Stefana, wpada do gabinetu ojca. Pewnego razu, właśnie w czasie takiej wycieczki wpadł do ojca, który właśnie odbywał narady z ministrami. Mały Aleksander nie zmieszał się wcale, lecz, naśladując ojca, który zwyczajem rosyjskim nieraz do zaufanych mu w ten sposób przemawia, odezwał się do zebranych: „Dzień dobry Bracia!" Car uśmiechnął się życzliwie, lecz zaraz dodał, iż tak małemu chłopcu nie przystoi ludzi poważnych tytułować „Bracia". Wówczas — nie tracący rezonu carewicz miał poprawić się na: „Dzień dobry, Koleżkowie!"

Wykształcenie kobiet w Japonii

postępuje w sposób zadziwiający, choć ruch w tym kierunku obudził się dopiero od roku 1871. Wówczas to udało się kilka młodych Japonek do Ameryki na studya, za ich przykładem poszły następnie i inne odważniejsze kobiety japońskie, a wreszcie otwarto w Japonii szkoły dla kobiet.

Obecnie kraj „wschodzącego słońca" liczy już 32 tysiące młodych dziewcząt, które ukończyły nauki w tych szkołach, a przytem Japonia jest jedynym krajem azyatyckim, posiadającym Uniwersytet dla kobiet.

Mnóstwo kobiet pracuje w redakcyach dzienników i czasopism i wydawanym jest nawet specyalne pismo, domagające się prawa głosowania dla kobiet. Pismo to wychodzi pod nazwą „K o b i e t a XX. w i e k u", jest całkowicie redagowanem przez kobiety, uchodzi za organ redakcyjnej partyi niewieściej, domagającej się całkowitego równouprawnienia z mężczyznami.

„Chrzest“ cywilny.

Korespondent paryskiego *Tempsa* donosi, że w wielu gminach sławnej okolicy winnej Macon zorganizowano od pewnego czasu „chrzty“ cywilne. Burmistrz gminy Flacé-les-Macon wprowadził przy takim „chrzcie“ cywilnym pewną nowość. Przyjąwszy w urzędzie gminnym rodziców i noworodne dziecko, jak również rodziców chrzestnych, wręczył tym pierwszym pismo, ktorego tekst zaciągnięto do specyalnych rejestrów. Pismo to opiewało:

Chrzest cywilny: Maryo Filiberto Seve, córko Ludwika Seve i Filomeny Cercopet, ogrodników w Flace, bądź pozdrowiona w rodzinie wielkich duchów, wolnych od dogmatów. W obecności Filiberta Seve i Maryi Klaudyny Bascot, twoich chrzestnych rodziców, ja Antoni Coron, urzędnik stanu cywilnego i burmistrz, chrzczę cię w imieniu powszechnych praw wolnomyślności. W imieniu przesławnej rewolucyi roku 1789, tej matki praw ludzkich i obywatelskich, w imieniu francuskiej demokratycznej republiki. Chrzczę cię i daję ci trzy nauki, wzywając przytem uroczyście na świadków twoich chrzestnych rodziców: 1. Ojczyznę swoją, swojego ojca i swoją matkę będziesz mieć w poszanowaniu i będziesz im służyć. 2. Ze wszystkich sił swoich będziesz stawać w obronie prawdy i sprawiedliwości. 3. Najbardziej ze wszystkiego na świecie będziesz się strzedz, żeby krzywdy swoim bliźnim nie wyrządzić. A teraz obywatelko, Maryo Filiberto Seve, wracaj do swego ogniska domowego, bądź radością swoich rodziców i żyj w pokoju.

Flace, d... Burmistrz Caron.

Następują podpisy rodziców i kumów.

Ofiary dżumy w Indyach.

Urząd sanitarny angielski ogłosił urzędowe sprawozdanie z przebiegu dżumy w Indyach w roku 1910. Ogólna liczba ofiar wynosiła 452.984. Najsilniej nawiedzone były prowincya Agra, Audh i Pundschab, w których ofiarą epidemii padło 290 tysięcy osób.

Drugie miejsce zajmują centralne prowincye Badźputana i regencye Bombay i Bengalia z liczbą ofiar po 30

do 40 tysięcy. Najłagodniejszym był przebieg epidemii w prowincyi Birma (7.600 osób). W pierwszem półroczu 1910 roku zmarło 361 tysięcy osób, w drugiem 92 tysiące. Z tego wypływa wniosek, że zaraza poczęła się zmniejszać, łączą się zaś z nim pomyślne nadzieje na rok przyszły.

Przedśmiertny humor.

Niezwykłego figla wypłatał swoim spadkobiercom pewien sędziwy obywatel Berlina, zmarły tego roku. Prócz znacznego majątku, pozostawił on także ulubionego konia, siwka, który woził go za życia na wycieczki. Majątek zapisał najbliższym krewnym, co się zaś tyczy osieroconego siwka, to tego polecił oddać na wychowanie swemu staremu, dobremu przyjacielowi. Postawił jednak warunek, iż dopóki tylko jego ulubiony koń będzie żyć, krewni mają wypłacać ze spadku 10 tysięcy marek rocznie na koszta żywienia i pielęgnowania konia jego nowemu opiekunowi.

W tym celu większą część spadku zmarły polecił ulokować w banku. Ponieważ koń nie jest jeszcze stary i cieszy się najlepszem zdrowiem, spadkobiercy nabrali rozpaczliwego przekonania, że większą część, a może i cały spadek pochłonie kosztowna opieka nad koniem. Wtajemniczeni w tę sprawę testamentu opowiadają, że zmarłemu nie chodziło tyle o konia, ile o wypłatanie figla swym miłym krewniakom, a zrobienie honorowego prezentu staremu przyjacielowi.

Hiszpanie wobec upałów.

W Hiszpanii, jako w kraju na południu położonym, panują w lecie ogromne upały, mimo to krajowcy znoszą je doskonale. Niema tam wypadków porażenia słonecznego, tak jak w Nowym Jorku, w Chicago i w Londynie, a to dlatego, że Hiszpania ma powietrze przeważnie górskie, przy którem wysokie temperatury nie działają tak osłabiająco.

Lecz nawet mieszkańcy dużych miast: Sevilli, Malagi, Kartageny, Alicante, Walencyi, San Sebastian, to jest miast leżących zaledwie o kilka metrów ponad po-

wierznią morza, nie odczuwają tak dotkliwie upałów, dzięki temu, że powietrze jest czystsze, mniej zakopcone dymem fabryk, niż w Ameryce północnej i w Anglii.

Przytem Hiszpanie wcale nie pijają wódki i innych napojów wyskokowych, ochładzając się przeważnie wodą zaprawną sokami. Dalej nie spieszą się tak, jak Anglicy, nie pędzą do zajęć, chodzą powoli i zachowują wszelkie środki ochronne przeciw upałom, zresztą są do nich bardziej przyzwyczajeni, więc tem samem — odporniejsi.

Nawet żołnierze odbywają długie marsze przy wielkim upale bez szkody dla zdrowia. Żniwiarze andaluzyjscy pracują po 12 do 14 godzin dziennie pod promieniami palącego słońca i nie padają od tego żaru. Niektóre zajęcia odbywają się znów na olbrzymich krytych podwórzach od słońca zabezpieczonych — słowem w Hiszpanii nikt nie narzeka na upały.

Wskrzeszenie arabskiego uniwersytetu.

Ludy arabskie słynęły niegdyś z wielkiego zamiłowania do wiedzy, a ich uiwersytety zwłaszcza w maurytańskiem państwie, jak n. p. w mieście Cordova w Hiszpanii, były siedliskiem w całym świecie uczonych.

Wysoka cywilizacya arabska upadła jednak na Wschodzie z chwilą upadku kalifatu w Bagdarze, zniszczona przez dzikie ludy tureckie i mongolskie, a wypędzenie Maurów z Hiszpanii położyło jej kres ostateczny także i na Zachodzie.

Dopiero teraz, po sześciowiekowym letargu, zaczyna się dla kultury arabskiej odrodzenie, bo oto jak donoszą z Konstantynopola, urząd turecki postanowił założyć w Bagdadzie arabski uniwersytet.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.